

PAWEŁ GŁOWACKI

Wyznania szczerego entuzjasty teatru

Kultura

Wierny jasiek

W nowym „Babińcu” jest coś, czego w „Babińcu” starym nie było. Pewien zapiekły grafoman tłamsi poduchą - niczym Otello Desdemonę - równie zapiekłą grafomankę. Tłamsi tak długo, aż ją zatłamsi na śmierć. Najpierw jednak uparcie walczy z pościelą. Oraz z frazą.

Otula skołataną duszę przepoconą pierzyną - i tworzy. Przeciera moźół czoła wiernym jaśkiem - i tworzy. Śsie jałowy rożek prześcieradła, brata się z poszewką, wali łbem w materac, trzęsie całym jestestwem żelaznego łóża - i tworzy, tworzy, ach - tworzy... Tylko on, wierny barłóg, męki kiełznania spienionych słów i ona - poezja. Ona i jeszcze zamarte w napięciu one, trzy jego wiernie kobiety. Dwie podpowiadają ukochanemu zagubione gdzieś rymy, trzecia wystukuje całość na maszynie. Tak, stężenie natchnienia, które spowija tego Kalibana liryki, jest tak wysokie, że Kaliban sam pisać nie może w żadnym wypadku. On może tylko dyktować. I dyktuje. Wkręcony zaś w maszynę papier ledwo zipie pod nieludzkim ciężarem piramidalnych bzdurow. A świat czeka, świat, który wiel-

bi swego idiotę poezji. Gdy nadejdzie czas wytchnienia i wiernie niewiasty opuszczają świątynię pościelowego tworzenia, uwielbienie osobiście przyjdzie do idioty. Będzie to owa bosko wręcz zapiekła grafomanka. Wejdzie i poprosi o wysłuchanie, o zaledwie pół godzinę. I będzie jej to dane. Rozpocznie czytanie swego ciepłego jeszcze dramatu. Oto idiota, który od lat pisze idiotyzmy, słucha idiotki, która idiotyzmy kleić dopiero zaczyna. Demony grafomanii z wolna podnoszą głowy.

Już od pierwszych sekund głośniejszej lektury liryczne nieszczęście wie, że tym razem jasiek nie obroni przed światem, że wierna pierzyna nie będzie tarczą. Idiotka słyszy głosy - ściany coś mu szepecą. Jest tak, jakby kuriozalnym frazom grafomanki odpowiadało echo. Ale to dopiero początek. Oto głosy z wolna nabierać zaczynają ciała, stają się na moment postaciami czytanego dramatu. Wyskakują z różnych stron, coś bąkają i nikną. Z każdym następnym nawrotem stają się coraz śmielsze. Zostają dłużej, mówią głośnie, odgrywają całe sceny. Idiotyzm napisany zmienia się w teatr idiotyzmów. Uciele-

śnione demony grafomanii zaczynają tańczyć i są już nie do zniesienia. Zmieniają się w krede mełepiecie pióra pozostaje tylko jedno. Wierny jasiek na skrzeczącą twarz idiotki - i raz, i dwa, i trzy. I cztery - gdyż drgnęła. To właśnie uczynił, bo niby ileż grafomanii może znieść człowiek? Jak długo można przyglądać się idiotyzmowi w istocie... własnemu? Następnie wracają wiernie niewiasty i robią to, co zwykły w takich razach robić kobiety. „Babiniec” drugi się kończy. Kobiety sprzątają resztki.

Duża, dobra scena. Precyzyjnie skomponowana, szeroko rozegrana, nade wszystko zaś - cholernie śmieszna. Śmieszny tym specjalnym, Czechowskim śmiechem, którego podrobić się nie da. I jeszcze coś: w „Babińcu” pierwszym nie było jej w ogóle. W tamtym przedstawieniu, które spokojnie nazwać można grafomanią teatralną, scena duszenia grafomanii się nie zmieściła. Czyżby więc w niniejszej wersji obraz ten miał nosić znamiona symbolu?

Gdy Jakub Przebindowski jaśkiem nakłaniał Olgę Adamską do oddania ostatniego tchnienia, pomyślałem

o Grzegorzu Wiśniewskim, twórcy obecnego „Babińca”. Czyli o tym samym Wiśniewskim, który w nieszczęsnym „Babińcu” niegdyś równie nieźle maczał swoje reżyserskie palce. Nie były to jedyne palce, ale były. Jak to się stało, że wsparte na tym samym pomysłem spektakle różnią się od siebie tak, jak stare, pełne mętnej cieczy wiadro różni się od małej, porządnej filiżanki z czystą wodą? Otóż - stało się to za sprawą higieny. Grzegorz Wiśniewski najwyraźniej skorzystał z prysznicy.

Grafomania teatralna jest bowiem wszystkim, co chcecie, a raczej - czego nie chcecie. Nudą, monotonią, przypadkowością, dłużyzną, głupotą, brzydotą plastyczną, fanaberiami reżyserskimi, paniką aktorską, jest rozsypką, bałaganem i jedną wielką zbeźdnością. Słowem - w interesującej nas kwestii jest wszystkim, co było w „Babińcu” pierwszym, a czego w drugim zupełnie brak. Druga opowieść o naturze kobiet okazuje się bowiem opowieścią - by tak rzec - zwartą i gotową. Od początku do końca starającą się operować, we wszystkich scenicznych fachach, tym

tylko, co konieczne dla sensów, czyli niezbędne dla nich. Rzecz cała jest wyżyta pretensji do czegośkolwiek, poza byciem teatrem, jak bogowie przykazali. Gdzie trzeba - śmiesznym, wesołym - gdzie się należy. Jest drobiazgiem dopiętym, spójnym, spokojnym i takim, który chce się człowiekowi obejrzeć do końca. Nie mówiąc już o tym, że nowy „Babiniec” jest od starego krótszy około dziesięć razy. I tyleż razy więcej ma do powiedzenia. Jak bowiem nauczał Antoni Czechow - sztuka pisania, to sztuka skracania. W związku z czym kończę.

Wiśniewski, swym wiernym jasiekem przyduł samego siebie z przeszłości, po czym posprzątał resztki po orgii grafomanii. Gdyby tak młódz reżyserska na chwilę przestała filozofować i przysłuchiwała się żdziebełko - choćby przygodnie napotkanym misiem - z pewnością lżej byłoby nam oddychać.

Teatr - Scena STU Antoni Czechow „Babiniec” adaptacja i reżyseria: Grzegorz Wiśniewski, scenografia i kostiumy: Zuzanna Korwin i Grzegorz Wiśniewski